

## HISTORIA PŁONĄCEGO POGRANICZA (54)



# U nos su już Niemcy

Około godziny dziewiątej telefon z Konarzyn. Działaj trudno powiedzieć, kto pierwszy połączył się pomiędzy tymi miejscowościami, odległymi od siebie około trzydziści kilometrów. Odezwwał się niespokojny, zupełnie niespodziewany w treści głos z tamtej wsi. — Wy tam jeszcze siedzicie, a u nos su już Niemcy.

Wiadomość ta wprowadziła niesamowitą panikę w Brzeźnie. Przecież do przejścia granicznego było stąd tylko dwa kilometry, a tam panowała jeszcze nadzwyczajna cisza i spokój. Nikt nie wiedział, że w Chojnicach na wszystkich kierunkach rozrywały się już pociski artyleryjskie i wszędzie „grały” karabiny maszynowe. Dodzwonił tam się nie było można, podobnie jak do pobliskiej Lipnicy.

Niespodziewana wiadomość z Konarzyn błyskawicznie roznosiła się po całej wsi, wprowadzając wielkie zamieszanie, niepokoje, a nawet strach. Rozpoczęła się gorączkowa ucieczka plutonu wojska i strażników, policjantów i celników oraz rodzin pozostałych jeszcze urzędników i nauczycieli. Wszyscy kierowali się ku wschodzącemu słońcu, do Prądnicy i dalej ku Brusom.

Na rzece Zbrzyca w Lasce most był już obsadzony przez Niemców. Gdy w ten rejon doszli strażnicy z Brzeźna, dowiedzieli się o potyczce z Niemcami i poległym strażnikiem Mikołajczaku z Lipnicy. Musieli bacznie obserwować drogi leśne, gdyż naokoło rozlegały się strzały. Jechali w kierunku Słuzu. Tam przez rzekę Zbrzycę przeprawiali

się jeszcze rozbiti strażnicy i żołnierze z komisariatu Lipienice. Przewoził ich na łodzi emerytowany leśniczy Chyrk. On też pomagał przeprowadzić się strażnikom z Brzeźna Szlacheckiego. W czasie przeprawy wpadł do wody motor podchorążego Kostrzewy z Brzeźna. Z wielkim trudem go wydobyto. Aspirant Chłudzinski wciąż jechał rowerem ze swoimi strażnikami. Od tego miejsca tworzyli wspólną grupę z niektórymi strażnikami z komisariatu Lipienice. Większość strażników dotarła do Rawy Ruskiej.

Na opuszczonym punkcie celnym w Brzeźnie Szlacheckim panował nadal spokój. Po noc, niektórzy volksdeutsche i tzw. optanci, nie mogąc się doczekać „gości”, poszli na przejście graniczne z kwiatami, prosząc o przybycie. We wsi nadal nie widziano Wehrmachtu. Dopiero na drugi dzień do Urzędu Celnego na granicy wtargnęła bojówka żandarmerii i zniszczyła wyposażenie oraz wybiła szyby w oknach. Godło i portrety dostojników państwowych znalazły się pod żołdackimi butami.

Teraz dopiero w pełni ujawniły się volksdeutsche i ich wierni przyjaciele. We wsi pojawiły się flagi ze swastyką i portrety Hitlera. Aktywność wykazała również drużyna hitlerjugend.

Zaraz też wpadli do wsi selbstschutowcy, a po kilku dniach zaczęło się krwawe rozliczanie miejscowych patriotów. Rozpoczęła działać niemiecka policja ochronna z wyzywającymi się na Polaków żandarmami: komendan

tem Gertzem, Beckierem oraz przybyłym nieco później z Sudet — Kuchlerem. Gdy odszedł Beckier na jego miejsce przybyło dwóch volksdeutsche z Pomorza: Szultke i Theuss.

Wśród ofiar z Brzeźna Szlacheckiego figuruje strażnik z Deręgowiec — Antoni Musiol, Ślązak, który wcześniej służył w tej placówce, a żonę miał z Brzeźna. Dawniej spędził tutaj zawsze z dziećmi wakacje. Tuż przed wojną żona jego oraz żona strażnika Pestki z Deręgowiec (jak wspominałem w odcinku „Zbliżenia” nr 1 z br.) wyjechały z tej miejscowości do Brus.

Pierwszego września spotkali tam samotnie uciekającego na rowerze strażnika Tarnowskiego z placówki Kiełpinozsy (komisariat Konarzyn). Przerazone patrzyły na niego i pytały, co będzie dalej. Poczesał je, że nasze wojsko odnosi sukcesy, a Gdańsk jest już polski... (taka była nieznaną sytuacją w tych tragicznych chwilach).

Po kilku dniach Musiolowa wraz z ośmioletnim synem i młodszą córeczką powróciła do swojego ojca w Brzeźnie Szlacheckim. Jakże zmieniła się tam miejscowość. Panował tutaj wielki niepokój i niepewność jutra. Rozpoczęły się aresztowania w patriotycznych rodzinach polskich. Musiolowa udała się do pracy na dwór za dawną granicę w Piaszynie. Ktoś doniósł, że była żoną strażnika. Po tygodniu oznajmiono jej, aby więcej nie przychodziła do roboty. W następnym roku jej

dziewięcioletniego syna Józefa skierowano na przymusowe roboty do Heira koło Miastka. Wykonywał różne prace, a od 1943 r. gdy miał 12 lat, musiał pracować koniemi. Ileż miał trudności w tym wieku z poruszeniem ciężkiego pługa przy oraniu. Zły nadzieją, że będzie to trwało krótko. Jego gospodarz, w przeciwieństwie do żony, opiekował się zwierzętami Hitlera, a gdy trzeci syn mu po legł na froncie wschodnim, stał się jego przeciwnikiem.

Antoni Musiol, podobnie jak inni strażnicy, znalazł się za Rawą Ruską i tam obtarłszy sobie nogę, nie był w stanie uciekać dalej przed Niemcami. Wpadł w ich ręce i dostał się do stalagu II B Hammerstein (Czarne) na zachód od Człuchowa. O jego pobycie w obozie dowiedziała się jego żona w Brzeźnie. Za raz też udała się do Chojnic, stąd postanowiła pojechać do stalagu. W Chojnicach przypadkowo spotkała znajomego, który wyszedł z tego obozu i nie radził tam się pokazywać. Udała się więc do władz policyjnych w Chojnicach prosząc o zwolnienie męża. Obiecał, że ją odwiedzi, ale nie dotrzymał słowa. Gdy powtórnie zjawiała się w żandarmerii hitlerowskiej, wiedzieli, że mąż jej był strażnikiem. Zorientowała się, że szkodliwą opinię z Deręgowiec dostarczył tamtejszy volksdeutsch — Binger. Teraz już brutalnie się z nią obeszli. Wykrzykiwali, jak miała odwagę jeszcze tutaj przychodzić, grozili, że ją również zamkną. Jej męża wysłali do obozu koncentracyjnego w Dachau. I tam zginął. Ro-

zdzie zawiadomili, że zmarł na zapalenie płuc. W zawiadamiającym piśmie pytano, czy żona przyjedzie na pogrzeb. Nie pojechała. Do Brzeźna przysłał jego obrączkę oraz zielony mundur strażnika.

Wraz z Antonim Musiołem w obozie Dachau przeżywał jego brat Teodor, któremu udało się szczęśliwie przeżyć. Po wojnie, Teodor Musiol do którego habilitowany, pracownik naukowy w Instytucie Śląskim w Opolu, członek Międzynarodowego Komitetu Dachau w Belgii i Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce — podjął pierwszy w Europie próg szerszego ujęcia historii obozu koncentracyjnego w Dachau. Opracował książkę pt. Dachau 1933—1945, wydaną przez Instytut Śląski w Opolu. Książka ta zawiera 469 stron. Na 57 stronie znajduje się wzmianka o strażniku z Deręgowiec.

„Tutaj przyjmowano transporty, tu na polecenie gestapo, sądu i komendanta obozu przesłuchiwało i zwalniano więźniów (zwalnianie politycznych zdarzało się bardzo rzadko). Stąd otrzymywano nakazy wykonywania egzekucji nad poszczególnymi jednostkami i całymi grupami, tu właśnie na podstawie adnotacji gestapo zapadały wyroki na więźniów karnej kompanii. W ten sposób stracono 13 stycznia 1942 roku w karnej kompanii Antoniego Musioli z Panówek, który przyszedł już do obozu z adnotacją gestapo, że musi zginąć”.

Syn zamordowanego strażnika Józef, mieszka w Brzeźnie i pracuje w Betoniarńi PKP w Miastku, pieczołowicie przechowuje tę cenną książkę, na której figuruje dedykacja stryja — „Drogiemu bratankowi Józefowi na pamiątkę wspólnie przeżytych lat okupacji z jego ojcem Antonim w obozie koncentracyjnym w Dachau, z którym nie było mu danym powrócić. Zginął w niewolniczym walce z hitleryzmem jako wór Polaka”.

Strażnik Bernard Skierawski z Brzeźna Szlacheckiego pochodził z Kościerzyny, żonę miał z Prądnicy, z rodziny miał on pięćoro dzieci. Najstarszy Jan miał wtedy 8 lat i opiekował się rodzeństwem, kiedy wszyscy z matką ewakuowali się aż do Lublina. (Dzisiaj jest kierownikiem szkoły w Niezabyszewie). Powrócił do Prądnicy, gdzie podobnie jak w Borowym Mlynie żył w bardzo trudnych warunkach. Przez całą wojnę nie nie wiedzieli o ojcu. Dzieciom umarła matka; wychowywali się u dziadków koło Kościerzyny, i tam ich dopiero odnalazł ojciec w 1946 roku, gdy powrócił z wojennej tułaczki do kraju. Osiedlił się na gospodarstwie we wsi Trzebiatkowo.

(cdn)

**WLADYSŁAW  
STANISŁAWSKI**

Na zdjęciu: rok 1935. Strażnicy z Deręgowiec.